



Zofia Zając

część III z III

Sygnatura notacji: **N1441**

Data urodzenia: **14.05.1935 r.**

Data nagrania: **30.06.2020 r.**

Miejsce nagrania: **mieszkanie świadka, Kalinowa, Polska**

Prowadząca/y rozmowę: **Justyna Staroń**

Czas nagrania: **część I: 60 min, część II: 63 min, część III: 38 min**

Format nagrania: **video**

Język nagrania: **polski**



TRANSKRYPCJA



INSTYTUT
PAMIĘCI
NARODOWEJ

[00:00:00 POCZĄTEK NAGRANIA]

Zofia Zając: Mój tatuś, jak już mówiłam, był łącznikiem, tu, na tym odcinku frontu, i też mówił to samo, że nie raz już była łączność nawiązana, naprawione wszystko, jeszcze nie zdążył przyjść do domu, bo oficer mówi: „Niech pan idzie do domu, bo tam coś sobie oprzątnie czy coś tam doglądnie”, już żołnierz krzyczy za nim, że już nie ma łączności. Po tym się okazało, że był niemiecki oficer w polskim mundurze łącznikiem i stale łączność przerywa. Podobno, że go nasi przyłapali i zabili. Takie rzeczy się zdarzały, to była wojna. Nie można im tego mieć za złe. Tak było. W Kalinowie był taki żołnierz jeden, uczestnik właśnie wojny w trzydziestym dziewiątym roku, nazywał się Jan Kolaśiński. Ten Jasiu nie chodził na cmentarz. Kiedyś mi mówi tak, mówię: „Jasiu, jak zmarłam - bo on paś krowy tam przy rzece - Jasiu, jak ja zmarłam. Byłam na cmentarzu”. „A, no byłaś. Ja to ci, Zosia, nie chodzę na cmentarz, bo ja nie mogę. Bo jak pomyślę o tym, że te chłopaki nasze, co leżą na tym cmentarzu, to przecie przez nas zginęły, bo myśmy mieli, nie wiedzieliśmy, a myśmy mieli oficera Niemca - i mówi - Na warcie w Sieradzu żeśmy przeszli przez Wartę i zgodnie z rozkazem zaczęliśmy minować most, a on przyleciał do nas i mówi: »Co wy robicie? Przecież jeszcze jedno wojsko pójdzie«, i myśmy z powrotem to, co żeśmy zaczęli minować, żeśmy rozminowali i żeśmy poszli dalej, i okazało się, że szło za nami wojsko, ale już niemieckie”. I mówi: „Żeśmy go już po tym nie widzieli, nie mogliśmy go złapać”. Inny pan, tam jeszcze z Rembieszowa ten pan znów był, to mi opowiadał, że też mieli oficera, który był Niemcem, no i mówił, już potem ten oficer, też go lubili nawet, no i zaprowadził ich do chatupy, mówi: „Teraz sobie tu usiądźcie, połóżcie się, odpocznijcie”. Jak oni usiedli, pozdejmowali te swoje plecaki, te karabiny, to on im zginął. W końcu któryś z tych chłopaków mówi: „Chłopaki, coś jest nie tak, bo za długo go nie ma”. Wyszli, zaczęli go szukać, a on rozmawiał w języku niemieckim z młodą Niemką, ale nie zdążyli go złapać, uciekł im, ale złapali tę Niemkę. I tak mi ten pan opowiadał, że ją zatłukli i ten szwabski łeb zakopali pod progiem, że jak wrócą Polacy, żeby

po tym szwabskim łbie deptali. No, proszę panią, ja powtarzam to, co mi opowiadał. To była wojna, takie sytuacje były. To była wojna. Obcy weszli do nas. To było pokolenie patriotów. Wystarczyło służyć w wojsku czy uczestniczyć, proszę panią, w wojnie dwudziestego roku, żeby zostać patriotą. Przecież mój ojciec był chłopem ze wsi i był wielkim patriotą. Tak. No i tak jak mówiłam, ten odcinek frontu, i, proszę panią, ja koniecznie chciałam wiedzieć, kto był u nas na kwaterze 14 maja trzydziestego piątego roku - chciałam się dowiedzieć, bo ojciec mówił, ale potem mi to wszystko wyleciało z głowy i zapomniałam, no i chciałam odnaleźć kogoś z oficerów lub z żołnierzy, którzy byli tu, na tym odcinku frontu, żeby mi potwierdzili, że tatuś był łącznikiem, i w tej sprawie zwróciłam się do komendanta straży granicznej. W czasie rządów pana Olszewskiego to komendantem był pan Jarosław Żukowicz, wspaniały człowiek. Jedyny człowiek w Polsce, który mi nie zarzucał kłamstwa, i najprawdopodobniej on się tym zajmował, ale chyba niewiele też zdążył zrobić, bo rząd Olszewskiego został obalony, a pan major ze stanowiska odwołany. Nawet wysłałam mu zdjęcia, wysłałam mu też różne takie te, co uważałam za wskazane, że mu się przyda, i najprawdopodobniej on się tym zajmował, bo to bardzo uczciwy człowiek. No i tak żeśmy doszli, te czasy ubeckie mamy. Chodziłam najpierw do szkoły, proszę panią, w Kalinowie. Nauczycielką była najpierw taka pani Mikuta z Pabianic, potem był pan Rudnicki, to był bardzo długo - to był właściciel majątku z Brzeźna, tam koło Sieradza, za Sieradzem, no i jego siostra też tu chyba ze dwa lata uczyła, ale tylko ze dwa lata, potem wyjechała do Krakowa. Po tym poszłam do szkoły do Rembieszowa, to jak do szóstej klasy już chodziłam, no to się już, proszę panią, zaczęło - już zakładano harcerstwo czerwone, już zakładano ZMP. Dla mnie autorytetem w takich sprawach był ojciec. Przyszłam ze szkoły: „Tatuś, zapisuję do harcerstwa. Czy ja się mam też zapisać?”. „Zapisz się”. Potem znów siódma klasa, pamiętam: „Tatuś, wszystkich, co byli w harcerstwie, chcę zapisać do ZMP. Czy ja też się mam zapisać?”. Wtedy mi ojciec powiedział tak: „Dziecko, ja chciałbym, żebyś chociaż dobiła do matury, a żeby dobić do matury, to musisz do wszystkiego należeć, a jeśli będzie trzeba, to my cię obronimy”. Powiedział: „My cię obronimy”, nie „ja”, tylko „my”, i najprawdopodobniej mój tatuś miał kontakt z jednym czy więcej z naszych oficerów, prawdziwych oficerów polskiej armii, tej przedwojennej, bo przecież to był chłop ze wsi, to by tyle nie wiedział. Lubił ryzykować, był bardzo odważny. No i potem właśnie chodziłam do tej szkoły, należałam do tego ZMP. To mnie męczyło bardzo, te bzdury, bo ja jeszcze pamiętałam, jak to było inaczej. No, proszę panią, potem skończyłam te siedem klas, chciałam iść koniecznie do liceum pedagogicznego, no ale ta pani nauczycielka mówi, że ja mam już poszarpane nerwy, że się nie nadaję bardzo, bo ja się wykończę szybko jako nauczycielka, no i doradziła mi technikum handlowe - w Pabianicach takie technikum było Ministerstwa Handlu Wewnętrznego. Tam się dostałam, tam był egzamin wstępny. Ten egzamin zdałam, zostałam przyjęta. No i też było to ZMP, zebrania, nie zebrania. Jakie to było trudne, jakie to było męczące. Obowiązkowe chodzenie do kina na takie filmy jak „Domek z kart”, no i potem, proszę panią, stacja. Wtedy nie było tak trudno znaleźć tę stację, bo dlatego, że jeśli ktoś miał duży metraż, to wtedy kwaterunek obowiązkowo dokwaterowywał kogoś, czy ktoś chciał, czy nie, to pani dokwaterowali normalnie jedną czy dwie osoby. No i ja trafiłam, tam taka dziewczyna z Rembieszowa była na stacji, mówi: „Może moja baba by cię przyjęła” - tak powiedziała, „Moja baba”. No i ja poszłam, ona mnie przyjęła. Mieszkania były ładne tam, bo to Polka przed wojną zaczęła ten dom na rogu ulicy Wojennej i Moniuszki budować, a Niemcy ukończyli i tam mieszkali w tym domu niemiec- cy dygnitarze, a córka tej pani, u której ja mieszkalam na stacji, była służącą u tego Niemca i właśnie oni szybko to mieszkanie zajęli. Ale co z tego - tam mieszkała ta kobieta, wdowa, mieszkała jedna córka z mężem i z dwójką dzieci i mieszkała druga córka z mężem, i tak naprawdę, proszę panią, to tylko mąż tej młodszej córki, która nie miała dzieci, pan Edek Grambort - tak się nazywał - on studiował zaocznie na Politechnice Łódzkiej, to był jedyny

mądry człowiek i on jeden się za mną upominał. Kiedyś ta pani mówi: „Ty, Zosia, to masz u mnie dobrze, bo nie potrzebujesz nic robić, bo te dziewczyny, co chodziły do pracy, posprzątały, a ta dziewczyna, co jest u Olejniczakowej, to wszystko musi robić, sprzątać, dzieckiem się zajmować”, a ten pan Edek tak siedział, mówi: „Co? Co ty, mama, mówisz? Ona ma bardzo źle u ciebie, a nie dobrze. Dobrze toby miała jakby ten pokój miała tylko dla siebie gdzie śpi i gdyby ten pokój był ogrzewany, albo najwyżej jeszcze koleżankę ze swojej szkoły, a jeszcze lepiej ze swojej klasy, a tutaj to ona jest sama i ona sama się uczy, a reszta hałasuje”. „Ja tam nie wiem, Edek. Ty to chodzisz całe życie do tej szkoły, to ta wiesz”. On jeden. I kiedyś dostałam piątkę z fizyki, no to też nie wiedziałam, jakiś piec, coś to było, nie miałam pojęcia o tym. Poszłam, się zapytałam: „Panie Edku, nic z tego nie rozumiem”. Jak on mi to wytłumaczył, to wiecie co, że ja nie lubiłam fizyki, zawsze miałam tróję z fizyki, a wtedy dostałam piątkę, tak mi potrafił wytłumaczyć ten pan Edek. Naprawdę wspomniały człowiek. Też był ze wsi, z Żuczkowic, to jest wieś w pobliżu Pabianic. No i potem skończyłam [szkołę], maturę zdałam tę stalinowską, i co dziwne, proszę panią, w pierwszej i drugiej klasie uczyłam się lepiej, to miałam, proszę panią, stypendium - najpierw 90 złotych, potem 180. Się gorzej uczyłam, potem się uczyłam coraz to lepiej, miałam przewagę czwórek, nawet piątki, to mi odebrali stypendium. Płakałam, i jeden z nauczycielki, który właśnie tam pochodził z tej wsi Bagna, tam zza rzeki, raz mnie zawołał, mówi: „Zosia, wiem, że ci przykro, ale to nie twoja wina. Skarga przyszła na twojego tatusia, że ma niewłaściwe poglądy”. Przyjechałam do domu, płakałam. Ojciec mówi: „Trudno. Módl się, żeby cię tylko nie wyrzucili. Już należ do tych ich głupot i ucz się, żebyś chociaż jakoś doszła do tej matury”. I doszłam do tej matury, potem były wtedy nakazy pracy. Gdzie ten nakaz pracy wziąć? Wiedziałam, że tu blisko, tak po koleżeńsku to mnie nigdzie nie przyjmą, więc musiałam liczyć na nakaz pracy. No i był wykaz tych miejsc i było miejsce w Warszawie, dwa miejsca były w Warszawie - jedno było w Ekspozyturze Wojewódzkiej Przemysłu Jajczarsko-Drobiarskiego, a drugie było miejsce w Centralnym Zarządzie Przemysłu Jajczarsko-Drobiarskiego, to była Hoża 66-68. Chętnych by było dużo, tylko że nikt nie miał mieszkania, a to było bez mieszkania, tak jak większość, no i ja poszłam, się zapytałam, czy ja mogę. Dyrektor mówi: „Tak, możesz, ale, Zosia, mieszkanie”, ja mówię: „Mieszkanie będę mieć, bo mam wujka w Warszawie, pracuje w archiwum w Wydziale Oświaty jako archiwista”. Nie był kierownikiem, no ale pracownikiem archiwum, to się śmiali, że stare papiery układa [śmiech]. No i on właśnie mieszkał na Pradze, Tarchomińska 13 mieszkania 34, sam. Miał pokój wielkości tej kucharki i kuchnię, tak, jak od lodówki tam do ściany, kucharkę i taki malutki przedpokój, no i oni mu ten kwaterek [zmniejszyli], ponieważ wyliczyli, wymierzili, że ma za duży metraż i mu dokwaterowali wdowę z dwiema córkami do tego małego mieszkania. On nie chciał wyjść z tego pokoju, to ta wdowa mieszkała z tymi dwiema córkami w tej kuchence. Klócili się, podobno nawet do rękoczynów dochodziło, milicja interweniowała nawet, no i, proszę państwa, jakoś tam się potem ta kobieta wyprowadziła, to on poszedł właśnie pod Politechnikę i szukał studenta, żeby jakiegoś studenta na to mieszkanie wziąć, żeby mu znów jakiejś rodziny nie [przydzielili], no i jakiś czas tam mieszkał u niego ten student, i akurat tak się złożyło, że ten student już skończył Politechnikę i się wyprowadził, a ja znów miałam ten nakaz i u niego mieszkałam. No i ten nakaz skończyłam, bym była dłużej, ale mój wujek mnie nie słuchał, ożenił się i musiałam przyjść tu. Poszłam do Zduńskiej Woli do pracy, byłam remanenciarzem. „To jest remanenciarka”, najgorsza praca, jaka mogła wtedy być. Ulicą się szło, to szła jaka sklepowa z drugą, mówi: „O, to też jest remanenciarka” - tacy pogardzani byli ci, co chodzili na te remanenty. Nawet wołałabym w sklepie być, bo najpierw jak poszłam, to byłam pewno, nie wiem, z miesiąc w sklepie, a potem mnie wzięli rzekomo do biura, a szkoda, że poszłam, bo bym miała chociaż spokój, a tak to kłótnie, awantury, nie raz wyszło manko - piekło istne na ziemi. Najgorsza praca, jaka może być. Jak dobrze było, to było dobrze, a wtedy się liczyło otówkiem, nieraz i człowiek się pomylił też. No i na czym

żeśmy skończyli, to właśnie na tym. No i, proszę panią, wrócimy teraz... No i tak żeśmy żyli, mój ojciec nigdy nam nie wybaczył tego, żeśmy wołali „Do Polski”, bo to ja tak wołałam „Do Polski”, jak te kary żeśmy płacili za to byle co, za marchew, za pietruszkę, to powiedział: „No widzisz, teraz masz bociana na łące, masz kwiatki, masz rzekę. Miałaś mieć fartuch szkolny, ale trzeba karę płacić”, no i w końcu często były kłótnie. Odszedł do przyjaciółki, to ja już byłam mężatką. To był rok który, pięćdziesiąty dziewiąty, no ale potem, proszę panią, jak powstało Stowarzyszenie Polaków Poszkodowanych, więc ja nie wiedząc o niczym, znów pojechałam do Sieradza w osobistej sprawie, z dokumentami. No i pojechałam do Sieradza, a pan prezes, właśnie ten milicjant, pan Stanisław Janiak, mówi: „O, dla pani tu mam przygotowany statut stowarzyszenia, bo pani będzie u nas pracować. W Zarządzie Gminnym pani będzie i weźmiemy panią do Wojewódzkiej Komisji Weryfikacyjnej”. No i, proszę państwa, dokąd nie było mowy, tylko to tak na żart było traktowane - może będą pieniądze, może nie będą - no to wszystko było dobrze, a potem jak już była taka nadzieja, że pieniądze będą, to oni chcieli mnie się wtedy pozbyć. Ja sama odeszłam od nich, ale wcześniej jeszcze miałam taką rozmowę z tym ubekiem, z panem Łosiem, i wiecie, co mi ten pan powiedział? Ja mówię: „Proszę pana, pan w Polsce Ludowej należał do uprzywilejowanych, a ja do prześladowanych”, a on mówi: „Tak, zgadza się. Ale gdyby pani tatuś zgodził się na współpracę z nami, a myśmy mu wiele razy proponowali, przekonywaliśmy na różne sposoby i zawsze nam mówił »nie«, toby pani życie spędziła w luksusach jeszcze większych niż ja”. I co jeszcze powiedział: „Ma pani dużo z tatusia, ale dużo pani jeszcze brakuje - tej odwagi, tego uporów, tej stateczności. Szybciej się pani denerwuje, traci pani szybciej równowagę. Miała pani cennego ojca, tylko nie chciał z nami współpracować”. I chłop ze wsi potrafił zostać patriotą. Takie było życie. No i ja od nich odeszłam, bo mówią, że dzieci nie dostaną, bo nie robiły, ja mówię: „Ale cierpiały”. „To niech pani za to, że u nas pani pracowała, to niech pani napisze, że pani robiła” i ja mówię: „Nie”. Dzieci w Niemczech robiły oficjalnie, a Niemcy tego w Niemczech przestrzegali, od czternastego roku życia. To była urzędowa granica wieku, i bywało tak, że tutaj z Polski z tych łapanek do Niemiec ktoś trafił, kto miał na przykład trzynaście lat, i potem ten ktoś pracował przez rok tylko za jedzenie jeśli to było u bauera, bo karteck Arbeitsamt nie wydał, bo jest za młody, dokumentów też nie miał, tylko jakiś tam świstek, że jest. A były takie przypadki, żeby młodszy trafiali. No i, proszę panią, powiedziałam, że nie, ja nie będę kłamać. „To pani nie dostanie nic”, ja mówię: „Proszę pana, zobaczmy” i się strasznie zdenerwowałam i mówię: „Zobaczmy. To są niemieckie pieniądze, a nie wasze, i chyba Niemcy też mają coś do powiedzenia”. I wie pani, co zrobiłam? Byłam strasznie zrozpaczona. Po polsku napisałam do samego pana Kohla i pan Kohl uznał, że się dzieciom należy. Po tym poszłam z tym pismem, a oni już mieli też to pismo i mówię: „Widzi pan? Dzieciom też będzie wypłacone”. Coś tam stęknął, nie powiedział nic, a ten ubek się tylko uśmiechał. I, proszę panią, tutaj dziwne, że tylko to zauważyła pani Łętowska, bo w tym czasie ona była rzecznikiem praw obywatelskich i pamiętam rozmowę pani Łętowskiej z panem mecenasem Markiem Markiewiczem w programie pierwszym Telewizji, i ona wtedy powiedziała tak: „Musiałam wkroczyć, bo ledwo się pojawiła mała isierka nadziei, że jakieś pieniądze z Niemiec będą, już się, proszę pana, zaczęło: Stasiu Józiowi, Józio Franiowi, Franio Zbysio i tak dalej”, i dziwne, że właśnie ta pani Łętowska tylko to [zauważyła], i, proszę państwa, tych pieniędzy to połowa poszła do tych, co naprawdę nigdzie nie byli i nic im się nie należało. Potem te lata dziewięćdziesiąte, no i właśnie ta ustawa któraś tam, numer, nie pamiętam przecież tego, no i że dzieciom, które były w obozie przesiedleńczym na Łąkowej, że się należą uprawnienia kombatanckie, i dziwne, że znów ci, co wcale nie byli, to otrzymali zaświadczenia, a ci, co byli, to nie. Ja nie jestem wyjątkiem, bo wtedy, kiedy myśmy byli wysiedleni, to były wysiedlone cztery gminy - nie wszyscy ludzie, ale wybrani, no i, proszę panią, z tych na przykład osób, co ja znam, to nikt nie otrzymał, a taka osoba, która sama twierdziła, że nie była, tylko że była w obozie w Po-

znaniu - to jest kłamstwo, bo mówił, że był wysiedlany w czterdziestym pierwszym roku, a w czterdziestym pierwszym roku już nie było obozu przesiedleńczego w Poznaniu, tylko przeniesiony był do Łodzi. W czterdziestym trzecim on był wysiedlony, a w czterdziestym drugim, pomyliłam, a w czterdziestym drugim był przeniesiony do Łodzi na Łąkową. Kłamstwo, bo jak był wysiedlony w trzydziestym trzecim, a pod koniec czterdziestego pierwszego podobno ten obóz był zlikwidowany i przeniesiony do Łodzi. No i taką miałam znajomą panią, proszę panią, ja ją spotykałam, widywałam na przystanku, z Górek Grabińskich, to jest następna wieś, Ligota i potem Górki, ona była w tym obozie, bo przecież jak się rozmawia z ludźmi, to się wie od razu, czy ten ktoś był, czy nie. Jeśli opowiada, to się wie, bo opowiada to samo. Więc ta pani też szukała tych swoich dokumentów, nawet była w archiwum w Łodzi. Mówiła, że tej pani dała 20 złotych, poszła, poszukała, przyszła, mówi: „Nie ma”. I taka moja koleżanka z tej sąsiedniej wsi, z Ligoty, to też wiem, że była, bo to było tak: myśmy pod tą ścianą siedzieli, a ona pod tamtą, bo to była sześciuosobowa rodzina, czworo rodzeństwa ich było i rodzice, ona najmłodsza. No i ona, proszę panią, też mi mówiła, że też nie otrzymała, a ja ją pamiętam, że była, bo moja mamusia ją kiedyś mi pokazywała w tym obozie, mówi: „Widzisz? Tam jest też taka dziewczynka jak ty. Jej mamusia jest moją koleżanką”. I ona naprawdę była, i mówiła też, że jakiś tam pan z Widawy też ma zaświadczenie, a podobno, że on wcale nie był. Nie wiem, jak to się działo. I co więcej, proszę panią, ja byłam w Sieradzu w Urzędzie Wojewódzkim do Spraw Kombatantów, to były te lata dziewięćdziesiąte. Ten pan przejrzał te moje dokumenty i mówi: „Proszę panią, ja wiem, że pani była, bo pani się tak zachowuje jak osoba, która nie kłamie, ale wobec tych przepisów jestem bezradny, a pani ma takich świadków, którzy nie mają uprawnień kombatanckich, więc tacy świadkowie są nieuznawani”. „Ja wiem, proszę pana, jak ktoś nie był i otrzymał zaświadczenie, i sam się śmieje, że nie był”. On tak na mnie popatrzył i mówi: „Proszę panią, jedno z archiwów wojewódzkich wydało aż...” - i tu padła liczba czterocyfrowa, i teraz nie wiem, czy to było, tylko ja zapomniałam, bo tak byłam oszołomiona, czy 1 400 fałszywych zaświadczeń czy 4 000, ale wiem, że tam była czwórka, ale już założmy, że to było 1 400. To mówił ten pan w Sieradzu. I jeszcze mówi tak: „Jakby się ktoś, proszę panią, znalazł taki z Widawy czy skądś, z bliska, kto w tym czasie też był w obozie, to ja będę prosił - a miał uprawnienia - to będę prosił go, żeby był u pani za świadka”, ale mówi: „Wątpię, czy kogoś takiego znajdę” i znów, co dziwne, powiedział: „Jak z Widawy, na razie to tylko jedna osoba ma uprawnienia”, i właśnie ta koleżanka moja mówiła o tym jednym i on też znów mówił o tym jednym, więc tutaj jest coś niejasnego. Nie wiem, takiej możliwości nie mam, żeby sprawdzić. Ja zrobiłam wszystko, pisałam do wszystkich możliwych instytucji. No i, proszę panią, w pięćdziesiątym siódmym roku wysłałam za mąż, tu żeśmy mieszkali, no i zawsze byłam kimś gorszym. Potem to już dla mnie pracy nie było, bo znów chodziłam do kościoła i w Strońsku w parafii jest pięć procesji eucharystycznych w ciągu roku, pięć tylko. Ja uczestniczyłam w tych procesjach, więc to już byłam wróg na czarnej liście i kiedy chciałam iść do pracy, to zawsze hasło za mną poszło. Nigdzie mnie nie przyjęli, biedę klepałam, i tak dożyłam wolnej III Rzeczypospolitej, ale dla mnie to nie jest III Rzeczpospolita, tylko obcy twór na polskiej ziemi. Polska tamta moja była zupełnie inna. Wszystko było polskie, wszystko - i rowery, i samochody, i napisy. To była Polska, a teraz? Nieraz siedzę tam na tej ławce, przejadą dziesiątki samochodów - napisy w obcych językach. Aha, nie mówiłam chyba jeszcze, że byłam z tatusem kiedyś na cmentarzu, może miałam wtedy dwanaście lat, w Wielkanoc, na mszy rezurekcyjnej. Tak mi się stopniowo fakty przypominają. No i po uroczystości mówię: „Pójdziemy na cmentarz?”. „No, pójdziemy na cmentarz”. Poszliśmy najpierw do dziadka, ojca mojego ojca, bo babcia, mama mojego ojca, to jest w Grabnie pochowany, bo tu w Rembieszowie to był szlaban, we wojnę nie wolno było chodzić do Strońska na cmentarz, księża byli aresztowani w czterdziestym pierwszym roku, w lipcu chyba. I dziwne zachowanie mojego tatusia: poszliśmy do żołnierzy, ja chodziłam

tam - wtedy były betonowe ramy i nie było żadnych nagrobków, tylko betonowe ramy były - a mój tatuś tak patrzył na te groby, ręce miał głęboko dosyć w kieszeniach płaszczu. Widziałam, że mu te ręce drżą. Patrzył. Po tym żeśmy poszli jeszcze do rodziców mojej mamy, a potem żeśmy wyszli z tej furtki tu, koło studni. Stanął w tej furtce i bardzo długo się patrzył na wał, na Wartę. Bardzo długo. Tak, moi kochani. On grzebał tych zmarłych. Pamiętam, jak w nocy wychodził z łopatką i tych polskich żołnierzy wszystkich grzebał w takich półmetrowej głębokości grobach, i jak on tam stał przy tych grobach, on widział ich twarze. Jakie to musiało być uczucie, jak to musiało boleć. Oni mieli roztrzaskane głowy, twarz, wyrwane wnętrzności, roztrzaskane ręce, nogi. To bolało. Był chłopem ze wsi, ale potrafił być Polakiem. Wszystkich ich pogrzebał. Kiedyś byłam z ojcem za rzeką w lesie na grzybach, były chyba cztery czy trzy, już nie pamiętam, takie półmetrowej głębokości doły. Stał i patrzył w te doły. Ja mówię: „Co to jest?”. „Groby”. „Czyje groby?”. „Polskich żołnierzy”. „Ale tu ich nie ma”. „Ano, bo są zabrani na cmentarz do Strońska”. I tak z nim właśnie było. Chodziliśmy po wale, jeszcze te doły były. Tu też [leżeli] polscy żołnierze. Jak on to wytrzymał psychicznie? Takie było życie. No a teraz takie rzeczy. Po tym, proszę panią, w roku 1988 to przekazaliśmy na rzecz Skarbu Państwa, więc ta szafa była kiedyś własnością dzieci pana ministra Mijała, to był minister gospodarki, pierwszy minister po wojnie, jeszcze jak rząd był w Łodzi, bo jakiś czas rząd po wojnie był w Łodzi. To jest jego dzieci szafka. Z tej racji do mnie trafiła, że siostra najmłodsza mojej teściowej, Bronisława Kukiela, była u niego jako pomoc domowa. On mieszkał na Wólczarńskiej chyba 75, i co dziwne, dzieci pana Mijała z ciocią chodziły do kościoła, a on miał opinię stalinowca, ale jemu to nie przeszkadzało. [Mówił]: „Jak chodzisz do kościoła, to sobie idź. One też mogą iść z tobą, przecież im ksiądz kraść nie każe”. Taka była odpowiedź. Mam ją na zdjęciu, tę ciotkę, mam też na zdjęciu córki kata Łodzi, pana Nergera - to był szef Gestapo w Łodzi, bo mojej teściowej siostra wyszła przed wojną za Niemca i już w trzydziestym piątym roku czy czwartym to oni już ze sobą nie mieszkali, bo on już poszedł do Gestapo. Ona nie miała z czego żyć, podobno w bramie kiedyś tam mieszkała nawet, a on już w ogóle - miała dwie córki - rodziną się nie interesował. Potem tę jedną córkę we wojnę jej zabrał, ta młodsza nie chciała iść, była przy matce, no ale pod kontrolą i pod nadzorem Gestapo oczywiście. Ja jestem przeciwniczką mieszanych małżeństw, to jest dobrze, dokąd jest dobrze. Wystarczy, że ci na górze wywołają jakiś konflikt i po tym to już owocuje konfliktami w rodzinach. Mojej babci brat też się ożenił z Niemką, chciał się uczyć tkactwa w Zduńskiej Woli. Chyba ci opowiadałam? No i trafił akurat do zakładu tkackiego na Paprockiej, do pana Jonknykla, a ten pan Jonknykiel miał dwie córki, z jedną go ożenili, no i potem tak... A ile ona miała tych dzieci, chyba pięcioro, trzy córki i dwóch synów. Ten najstarszy syn został przy tkactwie, no taki sobie był. Ta córka potem jedna za krawcową się uczyła, druga się uczyła hafciarstwa, ta najmłodsza też chciała się uczyć hafciarstwa, no ale potem pewno nie skończyła, bo wybuchła wojna, a najmłodszy syn, to tak ta Niemka nam [opowiadała], ona dla nas była dobra - widocznie kochała tego swojego męża - i mówi tak: „On był najmłodszy, on się chciał kształcić i ja go posyłać do szkoły, i on chciał być oficerem, to ja - mówi - go posyłać do tej szkoły, żeby on był tym oficerem. Ja się tak cieszyłam”. No a potem był na frocie i jak nie można nigdy trafić, co ktoś myśli, co kto ma w sercu. No i on był tym oficerem naszego Wojska Polskiego, trafił do oflagu, bo oficerowie byli w oflagach. Trafił do Oflagu, „Matka jak się nazywa?”. „Ojciec Czapczyński”. „Matka?”. „Jonknykiel”, no to co? Nakłaniali go, żeby podpisał listę, a on nie. On jest Polakiem, on się nazywa Czapczyński. Do końca mówił „nie”, z kolei ona, jego matka, chciała go wyciągnąć z tego obozu, no i podpisała tę listę, wysyłała mu paczki do tego oflagu. On te paczki przysyłał z powrotem, nie przyjmował. No i wrócił po wojnie, początkowo pracował w Urzędzie Miasta, ale nie chciał należeć do Partii. Znów go wyrzucili, no w końcu poszedł do fabryki, bo tkactwo też trochę umiał i pracował jako pracownik fizyczny na tkalni. A w domu pożał się Boże - przychodził z pracy to mówił: „Hajhitlo”.

Taka mała dziewczynka tam jego była, Krysia, no to kiedyś tam u nich rower zostawiłam na tej Paprockiej, to dziecko mówi: „Ciocia, babcia to jest Hetler” - czyli babcia jest Hitler. Tak to dziecko uczył, no. To nigdy nie będzie dobrze, nigdy w takich małżeństwach. To jest dobrze do pewnego czasu. Był mi świadkiem na ślubie. Ano był trochę inny niż wszyscy ludzie [śmiech]. Co oficer to oficer. Ale miał takie swoje właśnie [wybryki]. Też taki był upór.

[00:38:17 KONIEC NAGRANIA]